Nr. 40 Rok 5 Kraków, dnia 1 października 1944. 40 gr.

Ilustrowany KURJER POLSKI



PRZYJĘCIE NA ZAMKU

GENERALNY GUBERNATOR DR. FRANK WITA DELEGACJĘ POLSKICH ROBOTNIKÓW ZATRUDNIONYCH PRZY BUDOWIE SZAŃCÓW

Fot. Borek

NA WSCHODNIM FRONCIE



Powyżej:
Niemieccy grenadierzy na ulicach jednego z miast na Wschodzie, o którego zdobycie toczyły się zaciekłe walki.

Na prawo:
Niemieccy grenadierzy pancerni wyruszają pod osłoną czołgu „Pantera", do kontrataku na linie sowieckie.





Powyżej:
Żołnierz niemiecki podchodzi do płonącego czołgu sowieckiego, by rzucić weń minę i zniszczyć go przez to do reszty.

Poniżej:
Węgierskie działo w boju.

Wprowadzony w ruch sunie „Goliat" na zniszczenie nieprzyjacielskiego czołgu. Jest to mały czołg poruszany odpowiednim mechanizmem bez obsługi ludzkiej.





Fot.: Pietz, Rührmund, Pfeiffer, Pöhlmann

FILIPINY



MŁODOCIANY SPRZEDAWCA LODÓW Wyspa Luzon, wyspa stolicy Archipelagu, zna oczywiście najmodniejszy wyraz wymogów „użyteczności publicznej”... Oto zadowolony ze swej zasłużonej funkcji uliczny sprzedawca lodów, mających wielkie wzięcie w gorącym klimacie wysp.



Na prawo:
W POBLIŻU PORTU MANILI
Obok nowoczesnych parowców i statków przybrzeżnych kursów, na wodach archipelagu krążą żaglowce i małe „dżonki” tubylczej ludności rybackiej.



Na prawo:
EGZOTYCZNA WIOSKA ARCHIPELAGU
Pośród palm kokosowych, wśród bujnej roślinności, właściwej wyspom Oceanii, tulą się w zieleń chaty i zabudowania współczesnej wsi filipińskiej, dostarczającej cukru, ryżu, oliwy kokosowej i orzechów.





Na prawo:
CHARAKTERYSTYCZNY BUDYNEK POBRZEŻA. W celu ochrony przed często wysoką i burzliwą falą, przed skutkami tropikalnych ulew i powodzi, domy nadbrzeżne na Filipinach budowane są na palach. Obok w kole: **RUCH KOMUNIKACYJNY MIĘDZYWYSEPKOWY.** Ani na moment nie spoczywają łodzie i stateczki, krążące wciąż od brzegu do brzegu wysepek Archipelagu.



Poniżej:
W BLASKU MŁODYCH DNI...
Któż odgadnąć potrafi w tej beztrosko uśmiechniętej, młodocianej obywatelce Manili, jak bardzo mieszana krew płynie w jej żyłach? Malajczycy, Chińczycy, Amerykanie, Europejczycy i Japończycy zmieszali się z sobą — trudno tedy wyrokować o „czystości rasy” tego dziewczęcia z wyspy Luzon.



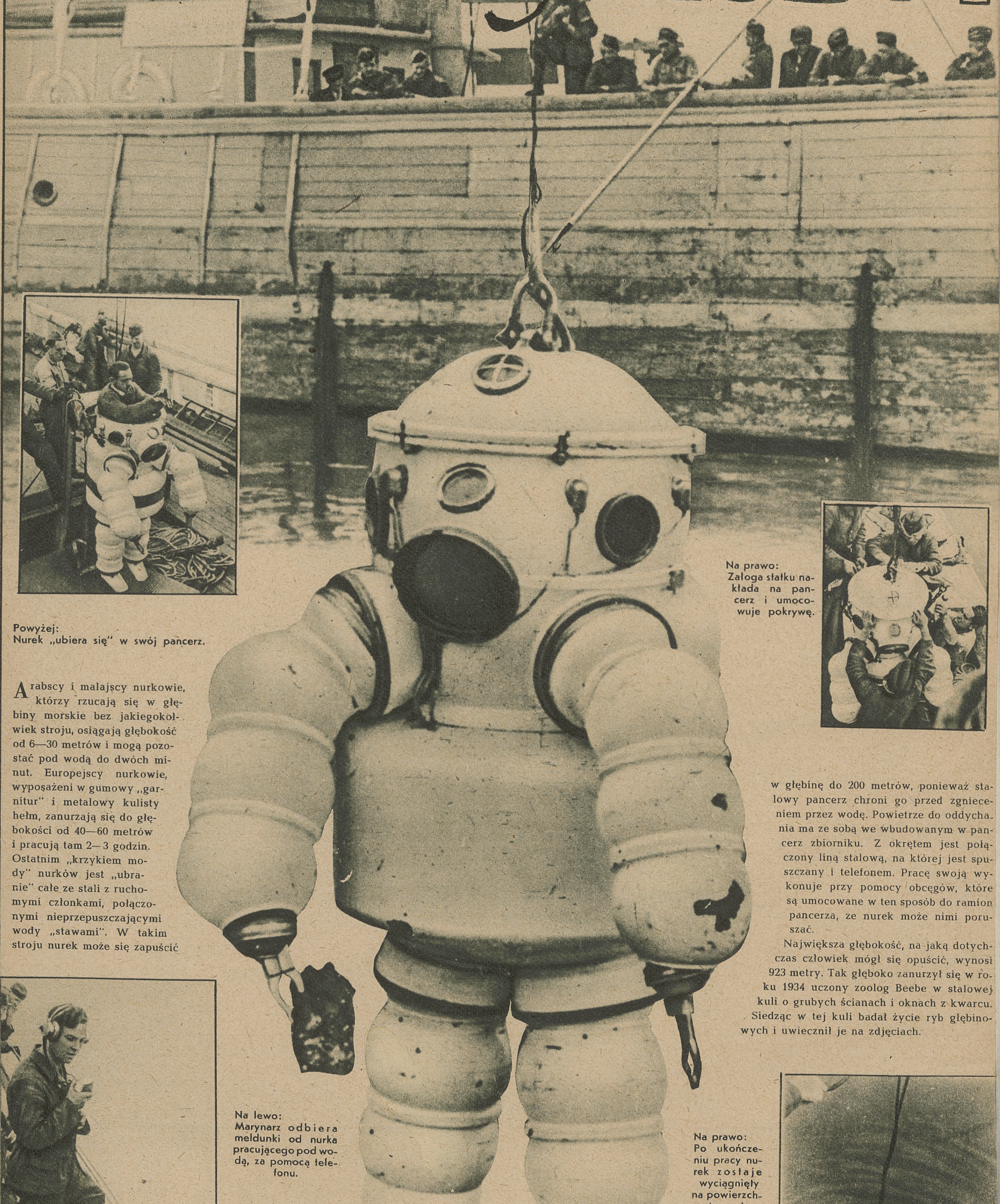
KĄPIEL SIARCZANA DLA DAMI
Wulkaniczne podłoże archipelagu dostarcza nie będących na wyspach rzadkością źródeł gorących o zawartości siarki.

Północną grupę wysp archipelagu Malajskiego, będącego pomostem między Azją a Australią, tworzą złożone z około 1100 wysepek Filipiny.

Mniejsze i większe, górzyste lub wyżynnopłaskie, zamieszkałe przez 16,5 milionów ludzi, stworzyły swą stolicę Manilę na największej z wysp tegoż archipelagu, znanej pod nazwą Luzon.

Dokończenie na str. 10-tej

Uduchowiony ROBOT



Powyżej:
Nurek „ubiera się" w swój pancerz.

Na prawo:
Załoga statku nakłada na pancerz i umocowuje pokrywę.

Arabscy i malajscy nurkowie, którzy rzucają się w głębiny morskie bez jakiegokolwiek stroju, osiągają głębokość od 6—30 metrów i mogą pozostać pod wodą do dwóch minut. Europejscy nurkowie, wyposażeni w gumowy „garnitur" i metalowy kulisty hełm, zanurzają się do głębokości od 40—60 metrów i pracują tam 2—3 godzin. Ostatnim „krzykiem mody" nurków jest „ubranie" całe ze stali z ruchomymi członkami, połączonymi nieprzepuszczającymi wody „stawami". W takim stroju nurek może się zapuścić w głębinę do 200 metrów, ponieważ stalowy pancerz chroni go przed zgnieceniem przez wodę. Powietrze do oddychania ma ze sobą we wbudowanym w pancerz zbiorniku. Z okrętem jest połączony liną stalową, na której jest spuszczany i telefonem. Pracę swoją wykonuje przy pomocy obcęgów, które są umocowane w ten sposób do ramion pancerza, ze nurek może nimi poruszać.

Największa głębokość, na jaką dotychczas człowiek mógł się opuścić, wynosi 923 metry. Tak głęboko zanurzył się w roku 1934 uczony zoolog Beebe w stalowej kuli o grubych ścianach i oknach z kwarcu. Siedząc w tej kuli badał życie ryb głębinowych i uwiecznił je na zdjęciach.

Na lewo:
Marynarz odbiera meldunki od nurka pracującego pod wodą, za pomocą telefonu.

Na prawo:
Po ukończeniu pracy nurek zostaje wyciągnięty na powierzchnię wody.

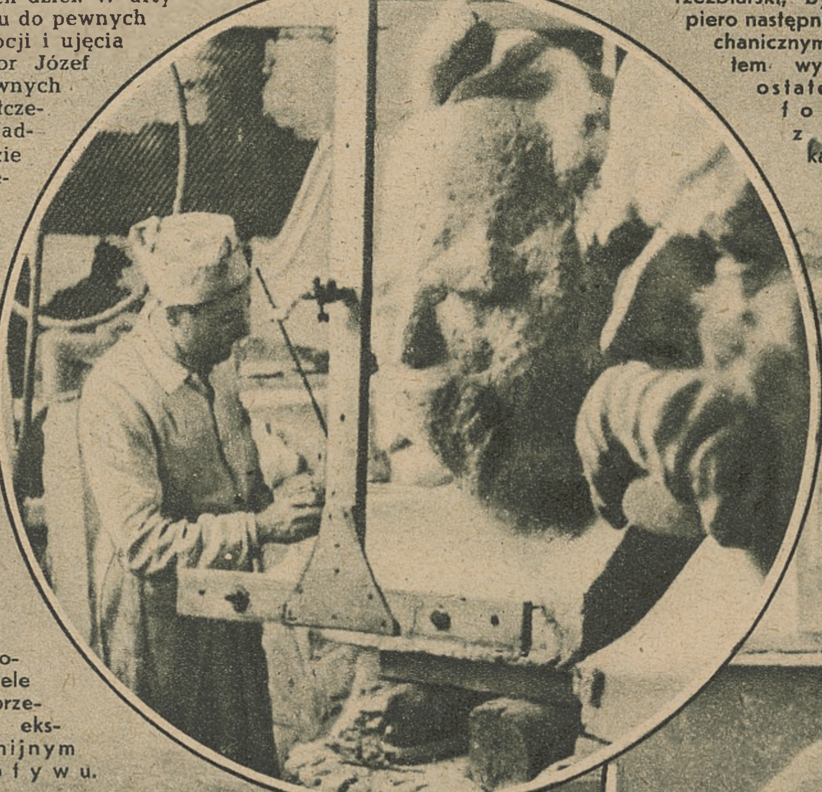
Powyżej:
Zawieszony na linie opuszcza nurek pokład statku, aby zanurzyć się w toń morską.

Fot. OT-PK Mai, TO.

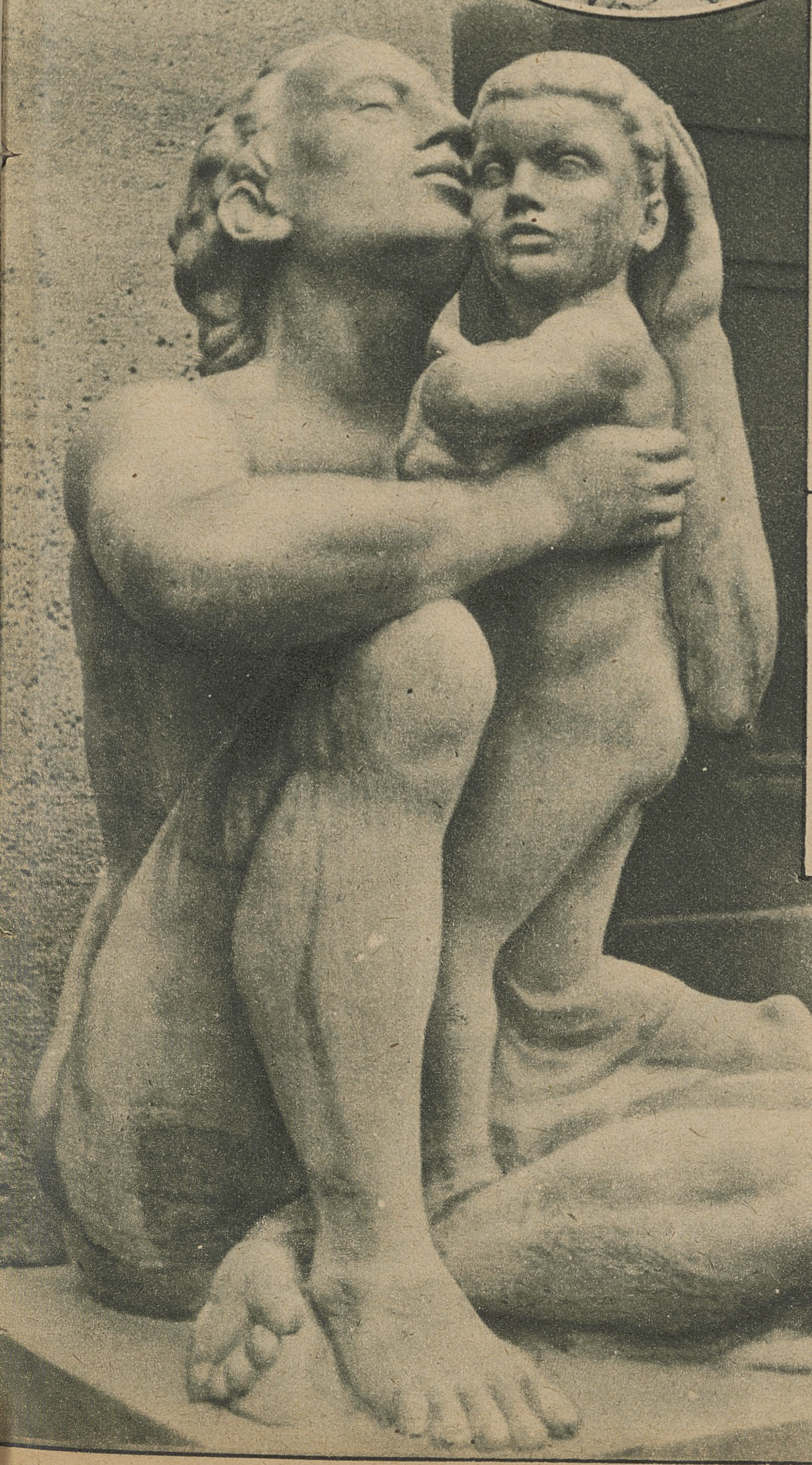
W PRACOWNI MISTRZA

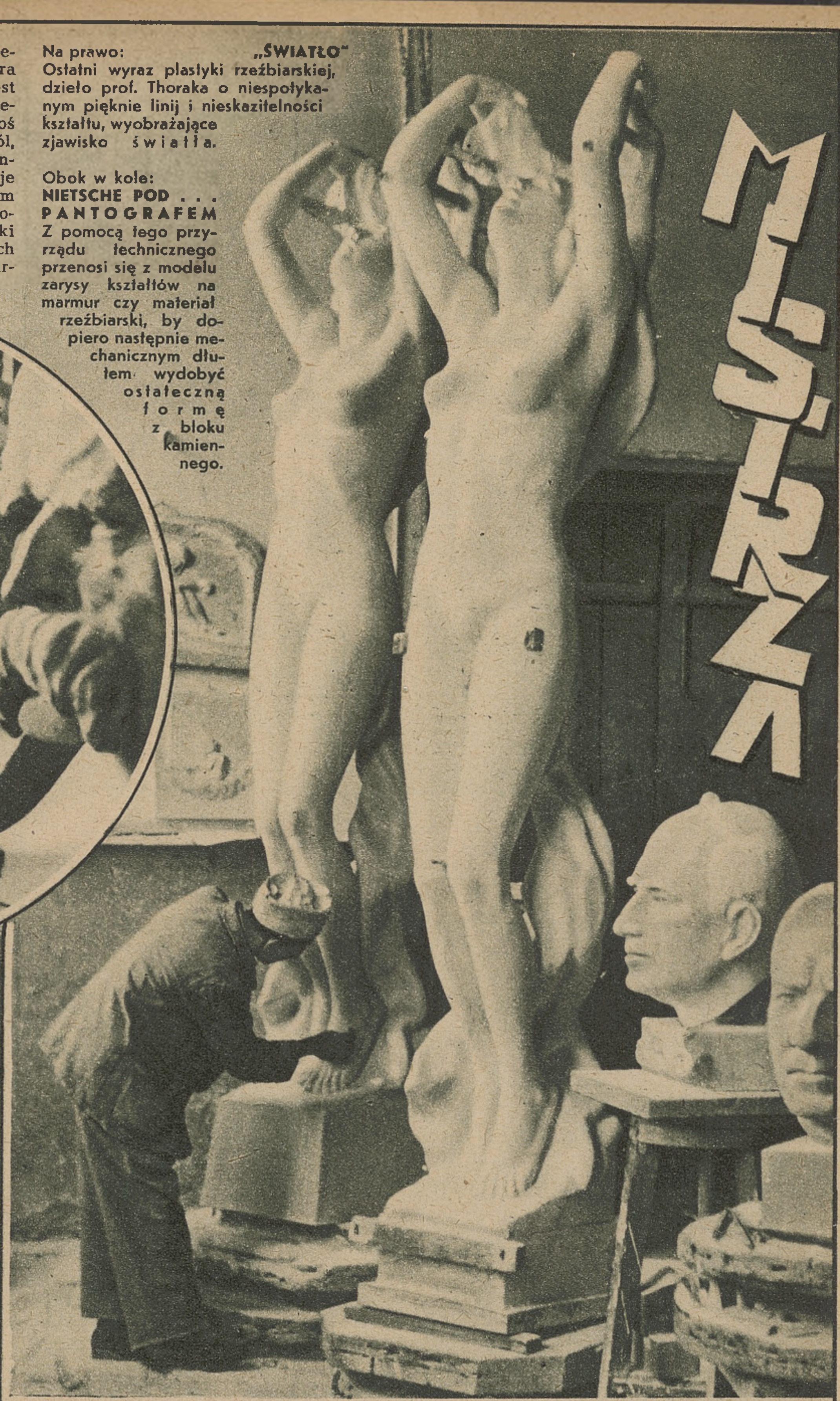
Pośród kataklizmów i chaosu twórczych sił światów, w zawrotnym, przeolbrzymim i przepotężnym wirze dziejowych epok globu, z prabytu Dobra i Zła, z wszystkiego, co tchnie widzialnym kształtem jestestwa i co było i jest rejonem Ducha — wyłoniło się odwieczne Piękno, niezniszczalne nigdy, nieprzemijające w trwaniu, mocniejsze nad kres i śmierć . . . Miraż czegoś wznioślejszego nad szary byt, nad walkę o codzienny chleb, nad radość i ból, cierpienie czy chwile przemijającego szczęścia ludzkości, promienny, instynktowny odruch dążności ku Boskości poczętej w Czasie, oto refleksje myśl opanowujące, przemożnie zapadające w duszę i serce za przekroczeniem progów świątyni Natchnienia, atelier rzeźbiarskiego profesora Józefa Thoraka. Wielki to artysta i wielki człowiek, szukający dróg dla swej sztuki w apoteozie szczytnych wartości a-materialnych, w pojęciach ogólnoludzkich wzlotów, marzeń i tęsknot. W rozmachu swej porywającej twórczości w harmonijny sposób potrafił połączyć ogrom z naturalnością, plastykę myśli z wdziękiem gigantycznych dzieł. W artystycznym podejściu do pewnych problemów koncepcji i ujęcia tematu — profesor Józef Thorak nie ma równych sobie wśród współczesnych rzeźbiarzy. Nadzwyczajne wyczucie spokojnego, majestatycznego niemal a przy tym wolnego od wszelkiej przesady liryzmu, głęboko przemyślana kompozycja całości, dostojeństwo formy i treści, oto zalety i cechy arcydzieł dłuta

Dokończenie na str. 10



Poniżej:
MATKA I SYN
Wspaniała w artystycznym wyrazie i pełna plastycznej prostoty rzeźba profesora Thoraka, wiele dzieł tego rodzaju przewyższająca czarem ekspresji i harmonijnym ujęciem motywu.





Na prawo: **„ŚWIATŁO"**
Ostatni wyraz plastyki rzeźbiarskiej, dzieło prof. Thoraka o niespotykanym pięknie linij i nieskazitelności kształtu, wyobrażające zjawisko światła.

Obok w kole:
NIETSCHE POD . . . PANTOGRAFEM
Z pomocą tego przyrządu technicznego przenosi się z modelu zarysy kształtów na marmur czy materiał rzeźbiarski, by dopiero następnie mechanicznym dłutem wydobyć ostateczną formę z bloku kamiennego.



„WARSZTAT" PROF. THORAKA
Tutaj powstają wzorowane na modelach gipsowych arcydzieła marmurowe mistrza.



Na prawo:
MONTAŻ OGROMNYCH FIGUR
Poszczególne części gigantycznych rzeźb muszą być nakładane na siebie z pomocą kranu i dopiero łączone w całość. Widzimy na zdjęciu „nakładanie" tułowia tym właśnie sposobem, a na prawo, z tyłu, widnieje rzeźba „Królewski jeździec".

Fot. Eurofot

NA KRAKOWSKIM ZAMKU

GENERALNY GUBERNATOR DR. FRANK PRZYJĄŁ DELEGACJĘ POLAKÓW ZATRUDNIONYCH PRZY BUDOWIE SZAŃCÓW

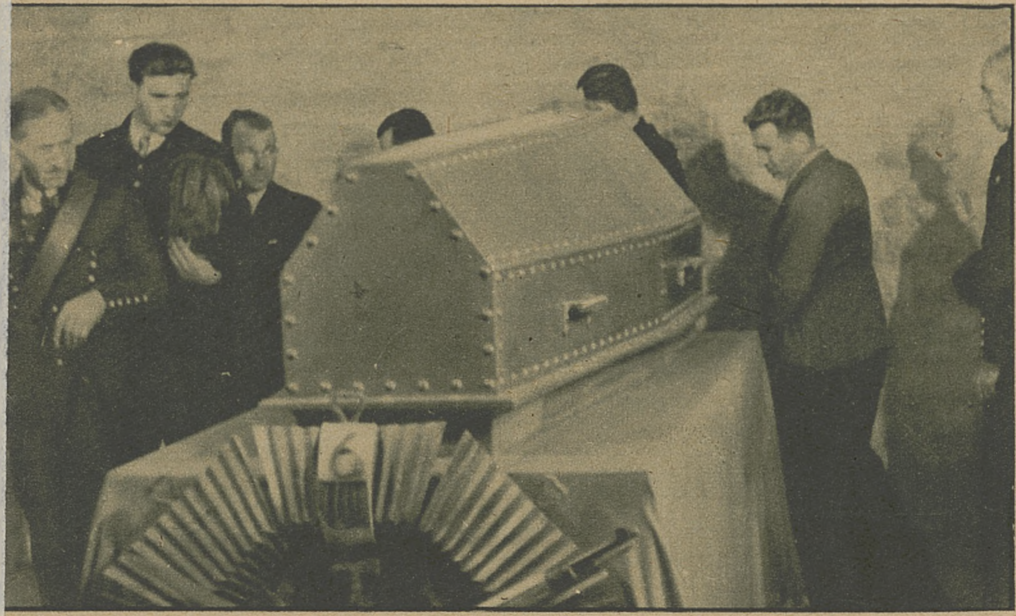


Fot: Borek 5, Rösner 3.



owyżej:
rkiestra górników z Wieliczki przygrywa w czasie przyjęcia.

Na prawo:
Generalny Gubernator pozdrawia na obszernym dziedzińcu Zamku wawelskiego delegację pracowniczek i pracowników.







owyżej:
/ czasie pobytu na Zamku delegaci złożyli ołd prochom śp. Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Na prawo:
Z podziemi Katedry delegacja udała się na zwiedzanie samej świątyni.





Powyżej:
Delegacja zwiedza Katedrę.

Na lewo:
Po skończonej audiencji, delegacja zasiadła wraz z Generalnym Gubernatorem Dr. Frankiem oraz przedstawicielami władz, do wspólnego obiadu.

Poniżej:
Przy pożegnaniu każdy z delegatów otrzymał upominek.

Podczas przyjęcia Generalny Gubernator podziękował delegacji za przybycie na Zamek i wyrażając słowa uznania za wydatną pracę przy kopaniu szańców, pozdrowił w imieniu Führera pilny, dzielny, pracujący naród polski. „Niemcy i Polacy" — powiedział między innymi Dr. Frank — „stworzyli wał, który ma chronić ich kulturę przed niszczycielskim bolszewizmem. A z tej wspólnej pracy Niemców i Polaków wyrośnie błogosławieństwo po wsze czasy".





Kiedy sroga szwedzka kampania nareszcie dobiegła końca, złe czasy przyszły na pana Zagłobę. Nic to, że mu dachu nad głową nie brakowało, gdyż zewsząd proszon był w gości, a u Kmiciców i Skrzetuskich niby we własnym czuł się domu. Po prostu czasy były już nie te same. Nie o sprawach Bellony teraz mówiono, lecz o cenie pszenicy; nie ten był górą, kto kiedyś wrażą zdobył chorągiew, lecz ów, kto galar zbożem ładowny w porę ku morzu spławił. Nie hetmani już też teraz dawnym zagończykom hetmanili, ale ich własne żony. Nie tylko u Skrzetuskich, ale i u państwa Kmiciców ponad wszystkim dominował słodki zapach pieluszek.

— Miła to woń — mruczał stary rycerz — zwłaszcza póki chrzciny wieści, a więc miłą do tęższego popicia okazję. A takoż łgałbym jako pies, gdybym rzekł, że może mi zastąpić aromat prawdziwie zacnego wina. Oj wino, winko zacne, jakoś ty się dziś rzadkie stało. Strach bierze: przy wyjątkowych tylko okazjach na stole się zjawiasz, a i wtedy po trzecim pucharku w dzbanie dno widać! Zaś kiedy indziej nic tylko sikosz i sikosz, bynajmniej od najmłodszych moich chrześniaków nie starszy.

Rzeczywiście o dobre wina i miody podówczas nad wyraz trudno było. Trunki te, jak wiadomo, dopiero po długiej edukacji należytej zacności nabierają, tymczasem wojna wielokrotnie przewalając się przez okolice, doszczętnie osuszyła wszelkie zapasy. W takich billewiczowskich piwnicach, gdzie rzędami stały beki i gąsiory, po części starsze od najstarszych ludzi na Litwie, po wojnie została tylko kupa luźnych klepek i rozbitych skorup.

Tak było wszędzie. Wina lepsze trzeba było teraz u kupczyków kupować, przy czym nigdy się pewnym nie było, czy trunek nie jest podrobiony. Trzeba też było płacić za nie



tak drogo, że nawet najpoważniejsi obywatele na codzień skazani byli na młode, już po wojnie z Węgier importowane cienkusze.

Biedny pan Zagłoba czynił, co mógł. Skoro tylko się zwiedział, że się gdzieś feta grubsza szykuje, lub że ktoś jako medykament kupił sobie tęższego trunku gąsiorek, nie pytał, czy go sześć; czy dziesięć od owego cudownego miejsca mil dzieli. Tak więc po ciężkich wojennych znojach i teraz nie miał chwili wytchnienia. Tłukł się od dwora do senatora, od plebana do przeora, trząsł stare kości po wertepach w burze, słoty i mrozy, i straszliwsze od mrozów letnie spiekoty, gnany jedynym pragnieniem, ażeby znowu tak, jak to ongiś często bywało, upić się choć raz jeszcze prawdziwie szlachetnym trunkiem do syta. Ale gdzie trunk był, było go, jak na jego pojemne gardło stanowczo zbyt mało.

— Dziwne czasy, dziwne czasy — narzekał. — Bądź co bądź diament niejeden się uchował, a i niejedna gładka młódka przy panieństwie ostała. Zaliżby naprawdę ani jednej baryłce wojna nie przepuściła? Przypuszczenie takie herezją trąci, gdyż wierze w dobroć i łaskawość boską jawnie zaprzecza. Także i z świecką sciencą nie jest zgodne, gdyż jest sprzeczne z zasadą, że nie ma reguły bez wyjątków. Muszą, muszą być gdzieś loszki, które wojna pominęła, sęk tylko w tym, aby wiedzieć gdzie? Nieprawdaż, frater?

Kwestarz, z którym pan Zagłoba tę tak ważną kwestię obgadywał, przyznał mu rację.

— Zaiste, słusznieś to waćpan wykoncypował. Pan Bóg jest miłosierny i loszki pełne gdzieś i u nas są. Ja sam o jednym takim wiem, gdzie są dwie spore baryłki wina siedmdziesięcioletnie.

— Nie może być!

— Może być, bo u państwa Ślizieniów w Chwilkowyżkach tak jest, choć o tym nie rozgadują. Nie rzekłbym ja o tym waszmości, gdyby mi byli dla klasztoru choć owe dwa garnce dali, o które ich prosiłem na zapowiedziany przyjazd do nas Ojca Prowincjonała. Aliści poskąpili.

— Klasztorowi poskąpili? Na tak świętą okazję? Nie może być! Chrześcijanie li to, czy Turcy?

— Chrześcijanie, ino ich szatan skąpstwa opętał, którego przemóc ja, grzeszny nie byłem w stanie. Argumentowałem elokwentnie, suplikowałem solennie. Kamień bym był wzruszył, ich nie. Nie dali nic.

— A poganie! A oczajdusze, skórczybyki chrześcijańskiego imienia niegodne! Klasztorowi nie dać, słyszana to rzecz! A jacyż ci Ślizieniowie?

— Wcale zasobni, choć wśród boru siedzą i ludzi zrzadka widują. Syn w średnim wieku jest i schorzały, za to jego matka, która tam wszystkim rządzi, góry z miejsca na mie[illegible]sce przestawiać by mogła. Kopuła na świętym Pietrze przy niej to nic.

— Toś frater widzę i w Rzymie bywał? A owo wino na pewno aby tam jest.

— Obym tak własnego zbawienia był pewny.

— Już ci ja, za Waści zbawienie, braciszku, krzyżem przez całą sumę leżeć będę, jeśli choć połowa tego, coś o winie owym mi rzekł jest prawdą. Zobaczymy, skoro im te baryłki osuszę. Choćby diabeł w nich siedział najzłośliwszy, jakoś sobie poradzę. Nie próżno Zagłoba-sum i głowę na karku noszę! Psem byłbym, gdybym nie pomścił krzywdy waszego klasztoru!

2.

Nie wyszło kilku dni a już przed ganek chwilkowyżskiego dworu zajechał bryką, suto kobiercami wykładaną mąż senatorskiej postawy. Zrzucił zwierzchnią opończę, poprawił czapkę na głowie i z dobrą miną, pełną najlepszej nadziei wszedł na ganek pytać o gospodarza.

Nie kto inny był tym mężem wspaniałym jak pan Onufry. Konie, wóz i służbę wziął od przyjaciół, kilimy i makatki też, a i do stroju to i owo sobie dopożyczył, ażeby się prezentować wspaniale. Ponieważ zaś i on sam niejeden cenny klejnot miał jeszcze z tego, co mu w czasach wojny w garść wpadło, w sumie mienił się i błyszczał nie tylko strojem barwnym i bogatym, ale też i złotem, rubinami i diamentami spinek, klamer i zapięć u żupana i kontusza, przede wszystkim zaś przebogato inkrustowaną zdobyczną karabelą i klamrą, podtrzymującą gruby pęk czaplich piór na wspaniałej futrzanej czapce. (Sam Ossoliński, kiedy sławne swe poselskie wjazdy do stolic, do których słan był, sprawował, nie wyglądał chyba świetniej od pana Zagłoby.)

Aliści, choć pełny dobrych myśli na ganek wstępował, wnet mu mina zrzedła. Choć bowiem o gospodarzu sporo słyszał, to, co naprzeciw witać go wyszło, dalekie było od opinii, jaką sobie o panu Ślizieniu urobił. Nie zdziwiło go, że miał przed sobą garbusa. Wiedział też, że pan Ślizień nie jest postawny i na jedną nogę cierpiąc, o lasce chodzi i chroma. Wskroś to wszystko sądził, iż stanie wobec człowieka, zaś ujrzał przed sobą nagle tylko cień cienia człowieczej postaci. Szlachcic nie tyle garbaty, ale jakby na dwoje w plecach złamany wątły był i cienki tak, że przez ucho igielne z łatwością by go przewlec było można. Ciało miał żółto-zielone, a właściwie nie ciało, bo ciała nie miał, jeno skórę. Widziało się przez nią wszystkie misterne jego kosteczki. Głowę miał maleńką, dziwacznie jajkowatą, oczka wyłupiaste o białkach jak polne maki czerwonych, nos haczykowaty a jedno ucho zżarte liszajem. Co najgorsze z oczu mu podejrzliwość i nieufność ku ludziom i iście wilcza złość na świat cały patrzyła.

— Wybacz waćpan, że zasłyszawszy od pana Sapiehy i innych godnych obywateli cudów mnóstwo o wielkich pańskich cnotach. rozumie, oraz prudencji a nie znając waszmość pana osobiście, umyślniem w te bory drogi nadłożył ażeby osobiście tak godnego i zasłużonego poznać obywatela — zaczął, wskroś wszystko gdy w tym elokwencję przerwał mu gospodarz:

— Matce pan powie. Jam na prawe ucho wiosną ogłuchł, a w lewym mi się wrzód robi, więc mało słyszę. Racz mości panie wejść w nasze progi, człek zacny w tych stronach rzecz rzadka! Proszę do izby, przeciąg mi szkodzi.

W izbie Ślizień spytał:

— Powiadasz wasza miłość, żeś w lesiech zbłądził?

— Jako żywo nie powiadam. Umyślnie jadę do pana.

— Acha koło świętego Jana. To mój sąsiad tę figurę tam nad wodą postawił jako votum, iż za sprawą tego świętego, z trzęsawiska w które nocą wjechał, z życiem się ocalił. Tylko wóz, konie i woźnicę diabli w błota wciągnęli — odpowiedział gospodarz.

Gadajże tu z głuchym!

A jednak jakże tu milczkiem siedzieć? Pan Ślizień usadodowiwszy gościa przy ogromnym dębowym stole w mrocznej bawialni, do której niewiele słońca się przez błony i szybki w oknach przesączało, uważał za obowiązek podtrzymywać rozmowę.

— Wielaż tych bestiów było?

— Zdrowaś Maria, łaskiś pełna, Pan z Tobą. Błogosławionaś Ty między niewiastami — odpowiedział stary rycerz uprzejmie.

— Aż tyle? — dziwował się pan Ślizień. — Widać się srodze ich namnożyło.

Wreszcie otwarły się drzwi w najciemniejszym kącie mrocznej izby i przewaliła się przez nie do izby czarna bezkształtna ogromna masa. Czepcem sufitu sięgała, w biodrach przestrona była niczym dworska stodoła. Od stóp aż do podgardla trzęsła się i falowała tysiącem olbrzymich rozlewnych jak ocean wypukłości. Zerwał się pan Zagłoba witać matronę.

— Słodka to wielce chwila iż mogę pani tak dostojnej itd., itd. — prezentował się, gładko, myśląc: — „Jako żywo, sporo widziałem, aliści nigdy jeszcze takowego potwora. Tłuszczu by z niej więcej wytopił niż z owego ogromnego świń stada, które, jako Pismo święte powiada, biesi w przepaść strącili. Jeżeli się ta baba kiedyś do piekła dostanie zapcha sobą wszystkie piekielne czeluście. Kiedy stąpnie ziemia się trzęsie, a kiedy sapnie drżą ściany. O święty Jerzy, czy ty kiedy takowego smoka widziałeś?"

Cokolwiek myślał, gadał, jako na dwornego kawalera przystało. Po wstępnych superlatywach trzeba było powiedzieć kim się jest. Nazwisko pana Zagłoby uderzyło w damę jak piorun...

— Ach, pan Zagłoba! Witam, witam — jęczała — srodześmy wiele o waćpanu i tu u nas słyszeli.

— [illegible]tnie, robiło się czasu wojny, co się dało, mościa pani [illegible]zeć że sława moich wojennych przewa[illegible] mościa [illegible]iziejce nie obca.

— I ta, i inna, mości panie. Powiedają, iż sroższego win niszczyciela od waści w świecie nie ma. Powiedają, że opoj, od starożytnego Bacchusa gorszy.

— Ja? — zdziwił się Zagłoba. — Poprawdzie pić piję, bo wszyscy wielcy wojownicy pijać muszą — exemplum rex Alexandrus Magnus. Aliści głównie przez to, że w modestii kawalerskiej lat wiele żyjąc, smęt i rozpacz samotności swej zapić jakoś muszę, aby mi służby dobru pospolitemu się nie odniechciało. Boć i teraz, chociaj Pax znów na świecie króluje, wytchnienia i możności, by o własnych sprawach myśleć, także nie mam. Zacni obywatele tu mnie jechać uprosili, bym z synem pani, mości panem Ślizieniem w kwestii wyboru posłów na sejm najbliższy pogadał.

Babsko przeżegnało się krzyżem świętym:

— W imię Ojca i Syna? Z mym synem gadać o posłów wyborze... Nie świećże mnie wiechciem w gębę. Winoś moje tu zwęszył, i tak mi mów, a o poselstwie mi nie kręć. Powiedz, czym źle zgadła?

— Cóż rzec mogę, kiedy słowom pani zacnym przeczyć się nie godzi — zamruczał rycerz. — Przypuśćmy, że to był fortel. Ergo...

— Ergo, żebyś waść tyle mil koni na próżno nie tłukł, owszem. Szkleniczkę wina dostaniesz. Ale nie sądź, że trzy! Jakem Ślizieniowa, powiadam waści, szkleniczkę jedną i drugą dam, a więcej nie, choćbyś i tydzień i miesiąc tu u nas siedział. Od Szwedów je wybroniłam, więc i od waści, mości panie Zagłoba, wybronię.

3.

Do wieczerzy dali jakieś piwsko, nie nadzwyczajne, ale też i nie źle uwarzone, oraz dzbanuszek pitnego miodu, który lubo nie stary, do głowy jednak zwolna szedł. Tak więc i Zagłoba, choć zrazu stropion był wielce, powolutku nabierał znowu fantazji. Prawda, że spalił mu na panewce sposób jaki sobie zrazu umyślił — a mianowicie aby wino wygrać, grając na ambicji nieudałego pana Ślizienia. Prawda, że ta wstrętna, ale na wszystkie nogi kuta baba na wskroś go przejrzała, jakby był z opłatka! Ale rycerz przecie nie w takich już opresjach bywał i furtkę jakąś jednak zawżdy w porę znajdował, ażeby z nich wyjść bez despektu. Teraz też, w sukces wskroś wszystko ułał, i to tym więcej, im więcej pił owego nienajlichszego choć dość pospolitego miodu. Pijąc, choć go obrzydliwość brała z uwagą patrzył w oczy matrony i nikt, kto konia kupuje tak pilnie nie stara się poznać jego usposobienia i narowów jak ów chciał z jej oczu, cielska i słów poznać jej duszę. — Tędy tylko droga do wina — mówił sobie — i kiep będę, jeżeli doń nie dojdę. Trzeba mi tylko na wylot poznać słabe strony tego groźnego smoka.

Nie było to zresztą wcale zbyt trudne. Baba rada, że oc[...]liła swe wino (boć uważała je już za ocalone), rada goś[...] nieproszonego o różności wypytywała, które ją zaciekawia[...] Rycerzowi zaś w to graj. Sypał słowami, jak wiatr afrykańs[...] piaskiem sypie, zaś czynił to tym śmielej, że Ślizień syn[...] i tak słów jego nie słyszał, zaś pani Ślizieniowa o sprawac[...] dalekich dziecinnie naiwne miała pojęcie.

Dziwna to była baba. Z mnichów kpiła, z plebana się [...]śmiewała i takie o nim opowiadała facecje, że pan Zagłoba[...] choć do obozowych pogawędek nawykły, za nią i za siebie się rumienił. Przy tym jednak bała się diabłów i czarów, a jeszcze srożej czarownic i ich sposobów. Jej zdaniem schorzenie jej syna było dziełem czarownic. Ba, nie była pewna, czy jej syn naprawdę jest jej synem, czy może raczej odmieńcem, zamienionym przez strzygi w kołysce.

— Co też snadnie też może być — przyświadczał rycerz. — Juno zrodzić może tylko Apollina.

— Gdzież mnie aby do Juno?

— Ze statury oraz gładkości, wielceś mościa dobrodziejko do boginki tej i dziś podobna, która palmy pierwszeństwa przed Wenerą inoć przez to w gaju Idy nie dostała, iż Parys stronnym był sędzią i na łatwe leciał umizgi.

Tak więc, popijając miód, wespół oboje sobie gwarzyli i w pani zwolna niechęć do gościa malała. — Czy pijus, czy nie — myślała — rycerz zeń w świecie wypolerowany i znany w całej Rzeczypospolitej, a i nie lekkoduch wcale, jak widzę. — Po kolacji sama mu zaproponowała:

— A teraz, zejdziem do piwniczki na szklenicę mojego wina. Silneć jest ono i słodko waćpana do snu ukołysze. A i na strzemienne drugą waćpan szklankę jeszcze dostaniesz.

Zeszli więc wszyscy w troje, a pan Zagłoba idąc pilnie zważał, którędy ku owym sezamom droga. Wiodła ona przez siedzibę smoka, przez sypialną pani Ślizieniowej komnatkę. Trza było klęcznik odstawić, dywan odsunąć i przez drzwi w podłodze, po schodach zejść w dół, gdzie dopiero drzwi silne, dębowe, żelazem okute, zamkiem potężnym opatrzone, wejście do właściwego loszku z winem stanowiły. Klucz nosił smok stale przy sobie, a nocą kładł pewno głęboko pod poduszkę.

W blasku kaganka natoczyła pani z baryły sporej trzy kwaterkowe kubki złocistego, gęstego trunku. Aliści pan Zagłoba zaprotestował.

— Zbyt wiele, mościa pani dobrodziejko, zbyt wiele! Owszem w sumie wypiję rad owe dwie kwaterki, któreś mi łaskawie ofiarować raczyła, ale radziej na mniejsze rozparcelować bym życzył sobie to wino kwanta. Raz, że już zapachem swym zdradza, że jego kieliszek za garniec innego wina starczy. Bardziej jeszcze przez to, że konie zdrożone, a i mnie nie lekko, zaledwiem mościa dobrodziejkę poznał, stąd wyjeżdżać. Wino mnie ciągnie, lecz i serce ma swe prawa, zaś sercu ten dom rajem się zdaje.

— Waćpan tak ino mówisz, iżbym od słowa odstąpiła,



którem rzekła, iż więcej waści wina nie dam, nad dwie szklenice?

Zagłoba się oburzył:

— Jako żywo, źle mnie sądzisz, moja dobrodziejko. Prawda to jest, że wiele o tym winie słysząc, a także i o pani, moja mościa pani dobrodziejko zaletach, a za słodyczą zarówno dobrego wypitku jak i małżeńskiego bytowania stęskniony, załgałem się tu pod pierwszym lepszym pozorem. Miałaś słusznie, iż zgadłaś, że owe z panem Ślizieniem narady zmyśliłem — toż ci był jeno fortel. Ale teraz, bacz na to waćpani, gdy i ciebie i wino już widzę, wolej bym z wina zrezygnował, niż z słodkości patrzenia w twe oczy; choć nie wiem, czy nie lepszeć ono od owej ambrozjej, którą Hebe Jowiszowi na Olimpie serwowała!

Ślizieniowa spuściła wzrok.

— Galant z waćpana, aliści ja serce mam proste i taką po świętej pamięci mężu nieboszczyku, który zmarł niespełna trzydzieści lat temu, w duszy żałość, iż mi gładkich słów waćpana słuchać się nie godzi, lubo są miłe.

4.

Zadowolił się pan Zagłoba więc w ów wieczór tylko naparsteczkiem ślizieniowskiego likworu, czuł za to, że owych ...żek jest bliższy, niż przed wieczerzą jeszcze mniemał. Ba... na niego leciała. Ledwo jej propozycją małżeństwa mignął przed oczyma, taką lubość w sobie uczuła, jakiej nie czuła ...ła już od lat wielu. Spać poszedłszy, długo zasnąć nie mo...a, gdyż choć światło zgasiła, obraz pana Zagłoby jak żywy stał przed jej oczyma. — Lubczyku mi zadał, czy co — mruczała, i odegnać chciała myśli nieprzystojne, a jednak z myślą o rycerzu usnęła i zbudziła się też z myślą o nim.

Zbudziwszy się, stroiła się dłużej niż kiedykolwiek, obficie między służki rozdzielając kułaki, gdy jej w porę tego czy owego nie umiały wynaleźć. Że pudru w domu nie było, mąką go jakoś zastąpiła, zaś sokiem malinowym barwiczkę. Strojąc się raz po razu o gościa zapytywała, dziwiąc się temu co jej powiedały służki, jakoby trwał na modlitwie.

Wreszcie wytoczyła się ku gościnnej izbie właśnie tak lekko stąpając, jako stąpa elfont indyjski, po naszemu słoniem zwany, skoro klejnotami obwieszony złotą wieżę z indyjskim królem na sobie niesie. Otwarła drzwi. Pan Zagłoba istotnie krzyżem leżał przed obrazem przedstawiającym świętą Matyldę, jej własną patronkę.

— Przez łaski, jakie ty, o święta, w niebie masz — wołał żarliwie — ocal tę cudną białogłowę od diabłów, które w nią wlazły. Niebiosa, zlitujcie się nad panią Ślizieniową i nade mną grzesznikiem!

— Co waść bredzisz! Co bajesz? Jakież diabły ja mam w sobie?

Zagłoba stropił się wielce.

— Wybacz moja mościa pani dobrodziejko. Straszna i niezręczna to rzecz o tym mi z panią gadać, lecz że o sprawy jak najważniejsze tu idzie, powiedzieć muszę. Wiesz pani, żem wczoraj pił nie za wiele. Jako żywo nie byłem wczoraj pijany. Wszedłszy tu, do izby, którąś mi wskazała, drzwi jedyne na klucz, na dwa spusty zamknąłem i poleciwszy się Bogu, za dzień tak szczęsny dla mnie serdecznie mu podziękowawszy, na łożu ległem, czego się nie zapieram, myślami będąc przy pani. Nagle słyszę, ktoś po izbie stąpa. Izba wypełnia się wonią miłą — najwyraźniej czuję rozkoszny zapach ust pani

— Przywidziało się Waści.

— Nie przywidziało. Bo oto czuję, że pani siadasz na mojem łożu, ujmujesz głowę moją w ramiona i słyszę, jako szepcesz: — Mój ty wybrańcze najmilszy! — Od wzruszenia ledwo żyw, ognia jednak, ażeby pewność mieć, skrzesałem. To byłaś pani.

— Łżesz jak pies! — zawołała cała czerwona.

Rycerz jednak oczu nie spuścił:

— Dziś za dnia, a i wczoraj nocą, sam wyrozumiałem, żeś to pani nie była. Pani ciało gorące, a tamto było zimne jako z lodu. Także, o czym w przebudzeniu nagłym zrazu nie myślałem, drzwi były na dwa spusty z wewnątrz zamknięte, a okiennice zaparte. A jednak to nie był ani sen, ani zwidzenie. Mówiłaś, ruszałaś się, odpowiadałaś, tuliłaś . . .

— Zamilcz Wasze! To przecie nie mogło być!

— A jednak było. I przeto, tak to tylko pojąć mogę, że się to wszystko przez moc nieczystą przydarzyć musiało. W księgach czytałem, że szatan, za Bożym dopustem, w czasie snu w ciało najcnotliwszej kobiety wstąpić może i przebrawszy się w nie, najdziksze wyczyniać sprośności. Taki szatan uczenie zowie się succubus, jeślić kobiece pożyczy sobie ciało i po jego zimności poznać go tylko można, o czym ja wszakże na czas nie pomyślałem. Takoż mi teraz w oczy pani patrzeć, gdym zgrzeszył? A jednak, com rzekł, rzec musiałem, abyś waszmość pani w swym cudnym ciele nieprzyjaciołom Bożym zagnieżdżać się nie pozwoliła, na co musi też być jakiś sposób, jak na przykład wstąpienie w krąg opisany kredą święconą i trwanie w nim na modlitwie, póki dzwony na Anioł Pański nie uderzą, cokolwiek by się wokół działo i jakiekolwiek by szatan harce za kołem wyczyniał. Nie inaczej i ja najbliższą noc spędzę, lubom przenigdy tej słodkości, co dziś, nie zaznał. Święconą kredę masz pani?

*

Tej nocy matrona, koło wokół klęcznika nakreśliwszy w jedną tylko włosiennicę ubrana, na klęczniku klęczała, gdy diabeł, postać pana Zagłoby na siebie wziąwszy, oknem wlazł do jej komnaty i koła nieprzestępując, grzesznymi słowy i gestami srodze ją kusił. Czemu, gdy ona się oparła i od cnoty nie odstąpiła, na inny wziął się sposób. Za róg dywanu ułapił, na którym kredą święconą koło bezpieczeństwa było skreślone. Pocąc się i sapiąc, dywan wraz z kołem i niewiastą na bok odciągnął, po czym, klucze spod poduszki wyjąwszy, klapę do loszku wiodącą otworzył.

— Mam na ciebie sposób, mam! — wrzeszczał. — Już ty mi z koła wyleziesz i o pacierzach zapomnisz, aby ze mną tańcować! Na winko cię chwycę, na twoje winko, kutwo sprośna, która teraz świętą udajesz!

Zszedł do loszku, dość długo tam bawił, potem beczułkę jedną i drugą na barkach do izby przydźwigał, i pełnym kuflem do modlącej się niewiasty przypijał, sprośności prawiąc. Potem obie baryłki za okno wyrzucił i srogie za nim wyczyniał brewerie, ale Ślizieniowa jednak skusić się nie dała i wytrwała w kole aż do porannego w kościele dzwonienia.

Co prędzej pobiegła do Zagłoby. Zastała go w jego izbie jeszcze na klęczkach w kole, święconym, w które wieczorem był wstąpił. Miał twarz uduchownioną, anielstwa pełną, jaką ma człowiek święty po uczciwie przemodlonej nocy.

Któż opisze jego przerażenie, gdy mu rzekła, co się u niej, w jej izbie nocy tej działo. A jak się zadziwił, że diabeł skradł wino!

— Nie może być? Cóżby to za diabeł był, który by wino, źródło pokus, usuwał! Chyba zrobił to po to, by mnie odwieźć od myśli połączenia się świętym węzłem małżeńskim z Waćpanią? Ale cóż wino, choćby najlepsze, skoro ja w pani widzę anioła . . .

Wdowa zapomniała o stracie i o straszliwościach tej nocy. Słodkość ją przeszła, aż jej podgardla zadrgały. Zdawało się, że runie w ramiona rycerza:

— Onufry, więc ty mnie prawdziwie chcesz! Więc ty mnie szczerze miłujesz?

— Na rękach będę cię nosił, Matyldo — odpowiedział, cofając się o krok — kocham cię mocniej, niż Polifem Odyssa miłował, ale mościa pani, w tej chwili, o tym myślmy, jakby stratę odzyskać. Czort, jako duch mocny, wino przenieść mógł, bo pono i góry przenosił. Wypić je jednak nie mógł, bo gdyby diabli takie wina pijali, piekło by dla nich piekłem nie było.

Skrzyknięto więc służbę, czeladź i chłopstwo, a i paru szlachty z zaścianka. Sprowadzono plebana, który wespół z panem Zagłobą objął nad ową gromadą komendę. Ruszono wyraźnym śladem przetaczanych barylek, osłaniając się od złych mocy pieśnią nabożną. Lecz skoro dostrzeżono, że ślad prowadzi za figurę, w bagna i gąszcza, w które nikt nigdy się nie zapuszczał, — gdyż wiadomo wszystkim było, iż tam „zły" siedzi — najpierw chłopi przystawać zaczęli, a potem zatrzymała się i szlachta i pan Ślizień, który dotąd wraz z wszystkimi dzielnie kuśtykał:

— Dalej nie pójdę. I pani matki nie puszczę! Tam ziemia przeklęta, tam bies na biesie! Nie wiem co się stało i czego tam szukacie, bo niedosłyszę, ale choćby mi rodzoną matkę tam diabeł wziął, nie pójdę tam nawet i z większym niż ksiądz pleban egzorcystą! Ksiądz przecie nie święty Michał. Jednemu diablu ksiądz może poradzisz, ale co poczniesz, jeśli się ich na księdza rzuci sto tysięcy?

Wstrzymał się więc i ksiądz, a i Zagłoba też, choć rycerz w tylu bitwach wypróbowany, także ustąpił. Wracając omawiali wypadki tej nocy.

*

Jeżeli pan Zagłoba z panią Ślizieniową ślubu mimo wszystko nie wziął, to stało się to tylko dlatego, że owa, po strasznych tej nocy przejściach, nigdy już pewności mieć nie mogła, czy z prawdziwym Zagłobą mówi, czy z dybiącym na jej duszę diabłem incubem, że więc za radą sprowadzonego exorcysty wnet z Chwilkowyszek wyjechała do Wilna, do klasztoru, gdzie przez wzgląd dla jej dużej fortuny ochotnie ją przyjęto.

Zagłoba zaś po dwu tygodniach absencji, do Kmiciców znowu powrócił i dziwna rzecz, w niezłym humorze. Zajeżdżając przed ganek podśpiewywał:

Magdziu, Magdziu, dajże gęby,
nie z tej strony, gdzie masz zęby . . .
bo ja Magdziu, gdy mam w czubie,
szczerbatości bardzo lubię . . .

Uhaha!

Z wozu musiano go zsadzać. Był wstawiony, tak prawie jak wtedy, gdy go Bohun wziął w sznury, ale jednak i o wyładowaniu spod siedzeń baryłek chwilkowyżkowskich pamiętał, jak i o tym także, by zaraz z nich pięć garncy wina odesłać na ręce poczciwego braciszka, od którego o tym skarbie się zwiedział. — Zawszeć to — mruczał — taka ofiara część choćby moich win zmaże, jeśli grzechem jest, żem opój taki, jakim mnie Pan Bóg stworzył, a przytym i kręt trochę i łgarz.

Chcę być na operze!...

M. DALBORÓWNA

Daj już sobie spokój z tą operą dzisiaj!... Tak przyjemnie było na wycieczce... nie pamiętam, żeby dotychczas kiedyś taka nasza niedzielna wycieczka autem była tak udana! I byłaś dla mnie taka miła cały czas, Lalu, moja śliczna dziewczynko!...

— Więc chyba właśnie należy mi się coś wzamian za to. Bądź ty teraz miły dla mnie i ustąp mi w tym wypadku, spełń mą prośbę! Cały tydzień cieszyłam się na tę operę...

— Nie miej żalu do mnie, Lalu! Nie zaręczałem ci, że wrócimy na czas i, że zdążysz jeszcze do teatru.

— Ale wiedziałeś dobrze, że mam ochotę być dzisiaj w teatrze.

Nie spojrzał na nią czuwając nad kierownicę, ale w głosie jego zabrzmiał zawód i żal, gdy powiedział:

— No tak, jednak myślałem, że zmieniłaś projekty, że ten cudowny dzień... Że dla mnie... I myślałem, że cały wieczór będzie nasz, że nadal będziesz taka dobra dla mnie... pójdziemy razem jeszcze do jakiejś cichej kawiarenki.

— Ach! Zenon, nie bądź śmieszny! Będziemy mieć jeszcze dosyć wieczorów i dużo wycieczek, a operę dziś dają ostatni raz! Proszę cię: dodaj gazu, a na pewno zdążę jeszcze na czas. Nie potrzebuję się przebierać.

Nie odpowiedział jej, ale zacisnął zęby w bezsilnej złości.

— Słuchaj Zenon — była rozgorączkowana i niecierpliwa. — Teraz jest wpół do ósmej za pół godziny zaczyna się spektakl. Jeżeli za kwadrans będziemy na zakręcie za Śmidowicami, to chyba będzie można zdążyć przed ósmą do miasta? Bo to już tylko dwadzieścia kilometrów stamtąd, prawda?

Zenon zamyślił się: Odkąd to Lala interesuje się kilometrami i odległościami? Okolice przecież nie zajmowały jej zupełnie i nie obchodziło ją nigdy, dokąd jadą i którędy!... Spostrzeżenie Lali zdumiało go, bo było trafne.

— To niemożliwe, Lalu! Szosa do zakrętu śmidowickiego jest gorsza i nie wiem, czy będę mógł wyciągnąć setkę na moim Chevrolecie. Gdyby to był Citroen, albo jaki inny lekki samochodzik najnowszego modelu, to na pewno byłoby tak, jak mówisz.

— Żebyśmy mogli być jednak o trzy kwadranse na ósmą za Śmidowicami! Zenon, spróbuj! Masz jeszcze kwadransik czasu! Szosa wcale nienajgorsza! Pokaż, co twój samochód potrafi!...

— Ależ, Lalu! Nie bądź szalona! W żadnym wypadku nie możemy być na ósmą w Krakowie, choćbym był o siódmej 45 w Śmidowicach. Stamtąd szosa na Markcinice, ta krótsza, jeszcze gorsza. Mój samochód, to nie nowiutki Citroen, powtarzam. Najwyżej wylądujemy gdzieś w rowie jeżeli w dalszym ciągu będziesz się tak upierać, bym zwiększał tempo. Z opery musisz już zrezygnować.

— Zenon, ja nie rezygnuję... proszę cię!!

Pochyliła się ku przodowi i zajrzała mu w oczy. Jej lśniące, zielone źrenice zamigotały tuż przy nim głębokie, fosforyzujące jakby w mroku wieczora, błagające i słodkie. Owionął go zapach jej perfum. Biała, kobieca rączka spoczęła na ramieniu kierowcy.

Musiał bardzo się opanowywać, by nie zatonąć w tych oczach, nie odwrócić uwagi od jaśniejącej wstęgi szosy przed nim. Ach!... Wziąć ją w ramiona i scałować z tych ust ten niewygodny i niemądry kaprys, co do tej opery!... Każdym nerwem czuł, jak ulega jej czarowi, spojrzeniu jej oczu... Nie chciał się temu poddać — to było wbrew rozsądkowi i woli — ale dodał gazu i stary choć częściami odnawiany Chevrolett rozwijał maksymalną swą szybkość.

— Nie zdążę, to jest wykluczone... I z kim poszłabyś do teatru? Wiesz przecież, że muszę auto odprowadzić do garażu, a to przecież nie jest w śródmieściu... i przebrać się, bo przecież bardziej przypominam osmolonego szofera niż eleganckiego towarzysza pięknej pani.

— Nie żądam, żebyś dzisiaj szedł ze mną. Pójdę sama. Może ktoś znajdzie się ze znajomych.

— Taaaak?!! — wściekłość kazała mu gwałtownie zatrzymać maszynę. Nie! Tego już było za wiele! Tego nie mógł znieść!

— Ach, więc może to uplanowane? Ja mam gnać na złamanie karku, a ty z kimś innym?!... Ten pan w jasnym raglanie, z którym wczoraj...? Czy tak?!

— Jesteś nieznośny! Nie poznaję cię! Co ci się stało? Skąd ta zazdrość? I nawet nie wiesz o kogo!! Tego pana, z którym widziałeś mnie przypadkowo wczoraj, nie znasz, ani nie przyglądnąłeś mu się bliżej. Zapamiętałeś tylko krój jego palta! A to mógł być mój ojciec, albo jakiś z profesorów.

— Wiem dobrze, że to nie był twój ojciec, ani żaden z profesorów. Ale nie chcę już o tym mówić!

Nie chciał mówić i nie chciał myśleć. Ale te kłujące, przykre myśli napływały same nie wiadomo skąd i po co... Kochał Lalę... a ona?... Może zresztą ona go także?... Ale to nie wykluczało dla niej licznego towarzystwa innych mężczyzn, asysty... nie wykluczało na dziś jakiegoś tam w jasnym raglanie, a na jutro znów kogoś innego. Nie mógł jej ufać. Przerażała go świadomość, że mimo długiej ich już zażyłości, nie znał jej wcale i nie rozumiał... Jej zmienne humory, jej kaprysy, jej zachcianki?...

— Słuchaj, Lalu! Nazwij mnie jak chcesz, ale oświadczam ci, że nie ruszę się stąd, aż wreszcie nie wyzbędziesz się tego niedorzecznego projektu, co do dzisiejszego wieczora. Rozumiesz?!

Nie odpowiedziała, ani nie starała się ułagodzić go znowu spojrzeniem, czy miłym słówkiem. Bała się go w tej chwili, gdy gniew i uraza dyktowały mu wobec niej postępowanie stanowcze, niemal brutalne.

Skręciła się na siedzeniu niespokojna, ze zdenerwowaniem wyglądała przez omglone szybki samochodu. Miała wypieki i nerwowo przygryzała usta.

— No, Zenuś... No to już dobrze, więcej o operze słowa nie będzie, ręczę ci... ale jedźmy. Wiesz, nadal zależy mi na tym, żebyś na trzy na ósmą był na zakręcie śmidowickim! Niech nasze auto zdaje egzamin! To już chyba całkiem niewinna zachcianka, prawda?

Uśmiechnęła się i on musiał uśmiechnąć się także:

— Świetnie! — był znowu rozradowany i szczęśliwy — staje zakład! Mówię ci, że będziemy na ten czas w tym miejscu! Chciałbym miał rozbić maszynę! Ale co dostanę, gdy wygram?

— Zakład stoi! Bo ja nie wierzę, byś zdążył! Mamy tylko dziesięć minut jeszcze! Ale jeżeli... to dostaniesz... no, dostaniesz buziaka!

Śmiali się i przekomarzali jak dzieci podczas tej szalonej jazdy.

— Mój gracik wysili się bardzo do Śmidowic, ale potem do Krakowa trzeba będzie dać mu zupełny odpoczynek. Stamtąd będziemy jechać nogą za nogą — zastrzegał.

— Czuję, że w takim razie w domu nie będę wcześniej, niż na dziewiątą?

— I to w najlepszym wypadku na dziewiątą! Nie miej złudzeń co do tego! Po takim wyścigu będziemy jechać z szybkością 20-tu km na godzinę. Trzeba będzie wstąpić w Śmidowicach na jakąś małą kolacyjkę, bo gdy przyjedziemy do Krakowa wszystko będzie już zamknięte. Wiesz, gdzie wcale nieźle można zjeść? W tej gospodzie na rozstaju, gdzie rozchodzą się dwie drogi do Krakowa: ta krótsza na Markcinice i ta, którą my pojedziemy asfaltowa, choć dłuższa na Przesłów. Zgadzasz się?

Zgodziła się z uśmiechem. Zdawała się zupełnie zapominać o niezrealizowanym projekcie co do opery.

Sędziwy Chevrolett dał ze siebie maksimum i jednak nie przybyli na czas. Była już za trzynaście ósma, gdy zamajaczył przed nimi zakręt na wąskiej szosie za Śmidowicami.

— Nie zrezygnuję z buziaka — krzyknął Zenon z humorem — sam go sobie wezmę! Teraz zaraz albo choćby w tej gospodzie przy kolacji...

Z hukiem pękła przednia opona. Zahamował od razu, klnąc:

— Masz swój pośpiech! — gderał wysiadając — jeszcze i to dobrze, że tylko tyle poniosł szwanku mój wozik po takim tempie. Ładnie bym wyglądał, gdybym miał tak pędzić do samego Krakowa.

Lala nie przeraziła się ani nie skrzywiła na niespodziewany postój. Oparła się o poduszki siedzenia i zdawała się zasypiać.

Spojrzał z czułością na nią i delikatnie, najciszej, jak mógł zatrzasnął drzwiczki.

Zląkł się ciemności. Latarka nie pomagała wcale. Dookoła było cicho i pusto. Wieś została daleko za nimi. Nie wyobrażał sobie naprawy bez pomocy kogoś drugiego w tych ciemnościach.

W tej samej chwili z przecznicy wyjechał mały, sportowy samochód. Po kształcie reflektorów poznał najnowszy model „Citroena".

...ten mógłby być na ósmą w Krakowie! Co innego mój rozlatujący się Chevrolett... pomyślał.

Nim przyszło mu na myśl, że mógłby przecież zatrzymać nadjeżdżające auto i prosić o pomoc — samochód zahamował.

Zgrabnie wyskoczył z wnętrza elegancki, młody człowiek.

Jasne raglany musiały być widać modne w tym sezonie, bo nieznajomy miał także okrycie tego kroju i koloru.

— O, niech pan patrzy jaki olbrzymi gwóźdź w gumie! Największa i najlepsza nie wyszłaby bez szwanku! A tam, o parę kroków znowu gwóźdź. Nie rozumiem. To wygląda jakby stąd cała droga do Krakowa była nimi zasłana. To będzie trudna robota z tą oponą.

— Mam szofera — nieznajomy właściciel Citroena był miły i uczynny — zaraz mu polecę pomóc panu. Niech pan nie dziękuje! Zwykła towarzyska przysługa. Zaczekam chwilę, aż skończycie.

Pomoc szofera okazała się genialna. Prawdziwie po fachowemu ściągał oponę z koła. Zenon pracował także skulony przy błotnikach na przodzie auta. Nieznajomy w jasnym palcie przechadzał się pomiędzy dwoma wozami zabijając ręce marznące w nocnym chłodzie.

W pewnej chwili Zenon usłyszał trzaśnięcie drzwiczek swojego Chewroletta. Nie mógł jednak odwrócić się od razu. Nieznajomy podszedł do pracujących.

— Pan pracuje? Niech pan da spokój. Mój szofer zrobiłby to sam prędko. Myślałem, że pan wsiadł z powrotem do swego wozu i szukałem tam pana właśnie.

Zenon położył palec na ustach: — W moim wozie śpi kobieta. Nie chciałbym, żeby się zbudziła.

Nieznajomy skinął głową i uśmiechnął się leciutko, domyślnie.

— Zimno! — powiedział po chwili — a robota się przeciąga. Wie pan co, zostawię panu swojego szofera. Potem zabierze go pan do swojego auta. Bo pan także do Krakowa, prawda? A ja pojadę naprzód prędzej, bo jednak się spieszę. Poprowadzę auto sam. Więc żegnam pana i życzę jaknajspieszniejszego zlikwidowania tej przygody!

Piękny Citroen cofał się tyłem ku przecznicy z której przyjechał, zakręcił i pojechał w kierunku Markcinic.

— Jedzie na Markcinice, bo szosa krótsza a do tej na Przesłów nie ma zaufania, te rozsypane gwoździe nie zachęcają wcale — powiedział do szofera — my także chyba skręcimy na Markcinice.

Zenon patrzał za znikającymi w dali reflektorami tamtego samochodu. Był zły, zmarznął:

— Ten będzie na ósmą w Krakowie, psiakrew!

— Pewno, że zdąży. A no, tak jak się umówili — mruknął szofer.

Zenon postanowił wsiąść do wozu. Gdy otworzył drzwiczki — zobaczył, że Lali nie ma wewnątrz.

— A no — powiedział szofer biorąc zapasową oponę — teraz będziemy razem kląć! Bo mnie ten inżynier też sprytnie urządził! Niewiadomo, jak jeszcze długo przyjdzie mi tu siedzieć na tej szosie! Ilem czasu zmarnował dla głupiego kawału: Naprzód przyjechaliśmy tu i te gwoździe musiałem rozsypywać na śladach samochodowych na całej szerokości drogi, żeby pan musiał stanąć i naprawiać. Potem tam, za tamtym rogiem czekaliśmy na wasz wóz przeszło pół godziny. Teraz siedzę tu z panem na mrozie a oni dobrze się bawią. Ta pani zapewniała, że za Śmidowicami będziecie kwadrans przed ósmą, żeby oni we dwoje nie spóźnili się do Krakowa na przedstawienie do teatru. Ale sprytna kobieta, prawie co do minuty byliście, jak się oni umówili. A jak zgrabnie się przesiadła! Ja także nie zauważyłem, kiedy. A nie myślałem, że ich kawał tak się uda! Niech pan trochę podeprze wóz z tamtej strony, bo sam nie dam rady.



DZIECIŃSTWO...

Słoneczko grzeje. Wokół trawa.
Nasz chłopczyk śmieje się — szczęśliwy.
Lecz gdy w krąg nie ma duszy żywej
cóż taka warta jest zabawa!
A więc pod loków jasnych zwojem
towarzysz zaraz powstał cudem!
Sędziwy, dobry Krasnoludek
okryty pstrym bajkowym strojem!
taki z książeczki z obrazkami!
przyjaciel snów! znajomy z wierszy!
tajemnych zwierzeń druh najszczerszy! —
Teraz wystarczą sobie sami...

W ulewie blasków jasna główka
i kraśny kaptur Krasnoluda!
a w trawie leżą dziwne cuda:
patyczek z trudem dźwiga mrówka...
tu żuk błyszczący — rycerz w zbroi
wśród źdźbełek stąpa jak wśród drabin...
Krasnalek dziecku trawę grabi,
na straży zabaw wiernie stoi —
i razem się z chłopczykiem śmieje!
podziela krzyki i zachwyty!
A słońce wyszło już na szczyty:
dla dwóch przyjaciół złoto sieje.

Fot. Eurofot M. A. Hessel



FILIPINY

Dokończenie ze strony 3-ciej

Opanowane częściowo około roku 1100 zdobywczą ekspansją Indyj, podpadły w czasokresie roku 1300 pod zwierzchność państwa islamskiego.

Rok 1521 „odkrywa" je dla szerokiego świata podróżą śmiałego żeglarza Ferdynanda Magellana (właśc. Magalhaes'a), Portugalczyka, odbywającego wyprawę dookoła Ameryki południowej z ramienia Karola V-go hiszpańskiego, celem szukania od zachodu drogi do bogatych wysp Moluckich.

Odkrycie to przypłaca śmiały żeglarz życiem, zamordowany na jednej z wysepek przez tubylców, nie chcących dać zmusić się do przyjęcia chrztu i uznania zwierzchnictwa Hiszpanii.

Nazwę „Filipiny" otrzymały wyspy od imienia hiszpańskiego króla Filipa II, następcy i syna Karola V, ponurego władcy, szerzącego wiarę katolicką nawet przemocą i gwałtem w swoim olbrzymim królestwie.

Panowanie hiszpańskie wygasło nad Filipinami w roku 1898, to jest w czasie, gdy prowadząca przeciw Hiszpanii wojnę Ameryka, obległa i zdobyła stolicę wysp, Manilę.

Warunkami pokoju paryskiego objęła wówczas Ameryka hegemonię nad Filipinami, będącymi odtąd kolonialnym obszarem Stanów Zjednoczonych.

Cała gospodarka na Filipinach nastawioną jest na zaspokajanie potrzeb amerykańskich i wszystkie też produkty bogatych wysp szły do Stanów Zjednoczonych.

Cukier, ryż, tytoń i orzechy kokosowe, płody kopalniane i bogactwa mineralne wysp, wysoko stojące rybołówstwo — wszystko to było długi szereg lat wyłączną domeną interesów i handlu amerykańskiego.

Ostatnim wydarzeniem w dziejach Filipin było przejście ich pod kontrolę Japończyków, gdy wojska cesarskie zajęły archipelag w roku 1941.

Ludność bardzo mieszana, jak na całym w ogóle archipelagu Malajskim, po większej części wyznania mahometańskiego, tworzyła do ostatnich niemal czasów wybitną większość napływową Chińczyków po miastach. Europejczyków nie było więcej nad 100—150 tysięcy na całym obszarze Filipinów (na ogółem 55.000.000 mieszkańców), i to w charakterze przeważnie kupców, urzędników, wojskowych gdzieniegdzie i właścicieli plantacyj, rugowanych stale i konsekwentnie przez Amerykanów.

Handel skoncentrowany w Manili, nabrał tak bardzo do r. 1941 wyłączności amerykańskiej, że Filipinom nadał on cechy niejako kolonii monopolowej spod znaku USA.

W PRACOWNI MISTRZA

Dokończenie ze strony 5-tej

profesora Thoraka. Gruntowna wiedza artystyczna i fachowa obok indywidualnego pojmowania zagadnień rzeźbiarstwa pozwoliły mistrzowi, na tworzenie jedynych w swoim rodzaju monumentów, wobec i w obliczu których jakoś dziwnie onieśmielonym staje w podziwie obserwator, ledwo wierząc, że ma przed oczyma twory rąk artysty-człowieka.

Kolosalność rzeźb uderzająco działa od wejścia do atelier, niby szept jakiś drży w powietrzu, że to królestwo geniuszu, który ukochał Piękno.

Rzecz najzupełniej jasna i zrozumiała, że osobiście wykonuje prof. Thorak jedynie tylko gipsowe modele, które za pomocą przyrządu znanego na polu rysownictwa i modelarstwa technicznego, zwanego zaś pantografem, zostają w znacznym powiększeniu przeniesione na surowiec w jakim są ostatecznie wykuwane w posąg czy postać grupową. Mistrz nie byłby w stanie tylu tak ogromnych prac wykańczać własnoręcznie. Tym zajmuje się już sztab jego uczniów i współpracowników jego atelier.

Klasyczne formy, idee ludzkości, życie samo wolne od przywarów i szpetoty — splotły się tutaj w jedno, będąc wyrazem usiłowań i szlachetności duszy mistrza.

Czy to z kart przeszłości, kędy zapisały się złotymi zgłoskami imiona wielkich ludzi, czy z otchłani doli ludzkiej, czy z krainy fantazji cudnych rojeń, czy z księgi istotnej Prawdy, zewsząd czerpie natchnienie dłuto twórcy, zaklinając w kształt dotykalny przede wszystkim mocną jak stal i twardą niby granit wiarę w to wszystko, co jako pierwiastek Piękna rozwinęło się w bujne listowie barw, dobra, jasności i szczerości, trwając poprzez wsze godziny bytu po dziś dzień wciąż wielkie, wzniosłe i czyste . . .

RELIGIA W SOWIETACH

Dziennik katolicki w Mediolanie „L'Italia" zamieszcza szereg artykułów o sytuacji religijnej w obecnej Rosji. Okazuje się, że mimo pozorów „tolerancji religijnej" głoszonej przez nową konstytucję stalinowską, położenie wszystkich wyznań a zwłaszcza chrześcijańskich przedstawia się w Sowietach wprost tragicznie.

Rozszerzanie wiary jest wzbronione, a propaganda antyreligijna wzmogła się ogromnie. Życie religijne ma z tego powodu w Sowietach wiele cech przypominających czasy prześladowania pierwszych chrześcijan. Ale pomimo tego, wśród młodzieży rosyjskiej znowu budzi się zainteresowanie problemami religijnymi. Londyński „The Tablet" podaje: „Ostatnio oblicza się, że różne organizacje chrześcijańskiej młodzieży w Sowietach liczą około 2 milionów członków".



Tak antyreligijne czasopismo sowieckie „Bezbożnik" zbezczeszcza „św. Rodzinę".

ROZMAITOŚCI

WŁOSKIE GRANATY

Nazwa granaty pochodzi z języka włoskiego. Oznaczano tą nazwą owoc drzewa granatowego, który napełniony jest dużą ilością ziarnek.

OPŁATA ZA PRZEWÓZ W USTACH

U starożytnych Greków był zwyczaj wkładania małej monety do ust zmarłego. Miała ona służyć jako zapłata Charonowi za przewóz przez rzekę śmierci. Pochodzi to stąd, że z braku kieszeni monety noszono w ustach, podobnie jak to jeszcze do dziś dzieje się u ludów tureckich i arabskich.

JAJA, KTÓRE NIE SĄ JAJAMI

Jajka mrówcze, które spotykamy w wielkich ilościach w mrowiskach i które służą jako doskonały pokarm dla ptaków, nie są właściwie j a j a m i, tylko poczwarkami o kształcie jaja.

KOSMETYKA I KOSMOS

Kosmetyką nazywamy pielęgnowanie, upiększanie ciała, słowo zaś kosmos oznacza cały wszechświat. Różnica duża między obydwoma pojęciami, a jednak obydwa słowa pochodzą od jednego słowa greckiego kosmos, które oznaczało pierwotnie porządek albo ozdoba. Starożytni widzieli we wszechświecie w pierwszym rzędzie porządek, harmonię i piękno, do czego skłoniła ich obserwacja uregulowanego ruchu planet i gwiazd. Dlatego nazwali wszechświat kosmos, t. j. uporządkowana piękność, harmonijne piękno. W późniejszych czasach przeniesiono to słowo na piękno ciała ludzkiego i słowem kosmetyka oznaczamy obecnie sztukę upiększania ciała ludzkiego, względnie pielęgnowanie ciała.

FIOŁKI GOETHEGO

Goethe bardzo lubił fiołki i chciał je wszędzie koło siebie widzieć. W czasie spacerów nosił ze sobą nasiona fiołków i rozrzucał je koło siebie. W okolicach Weimaru wszędzie rosły fiołki, które mieszkańcy nazywali później z dumą fiołkami Goethego.

GDY WŁOSY BYŁY W CENIE . . .

Ludwik XIV, Król-Słońce, zatrudniał na swoim dworze 48 nadwornych perukarzy. Paryskie peruki miały wtedy takie wzięcie, że francuscy kupcy, skupujący włosy na ten cel, musieli po całej Europie jeździć za poszukiwaniem towaru. Za funt włosów płacili 50 talarów, podczas gdy gotowa peruka kosztowała do tysiąca talarów.

CO NIE WYPADA MÓWIĆ KOBIECIE KIRGIZKIEJ

Kobieta kirgizka napotyka na nie lada trudności w potocznej rozmowie. Musi bowiem wystrzegać się wymawiania imienia każdego ze swoich męskich krewnych. Wykroczenie przeciwko temu zakazowi jest uważane za nietakt i „przestępczyni" ściągnie na siebie zarzut całej wioski, że nie umie się zachować w towarzystwie. Uniknięcie opinii złego wychowania jest tym trudniejsze, że mężczyźni kirgizcy przybierają sobie imiona wzięte z nazw przedmiotów z najbliższego otoczenia i zwierząt. Jeśli więc krewnemu Kirgizki przyjdzie ochota przybrać sobie imię konia, wołu, stołu lub tym podobnego przedmiotu, musi nieszczęsna ofiara zwyczaju narodowego przez całe życie unikać tego słowa i wyrażać je przez opisanie lub wskazanie. Podobnie jak nasza dyplomacja: nie wypowiada się pewnych słów, które by mogły spowodować nieprzyjemność.

GROBOWIEC ZA 40 MILIONÓW

Obliczono, że wybudowanie słynnego grobowca indyjskiego Taj Mahal pochłonęło sumę 40 milionów marek. Trzeba przy tym wziąć pod uwagę niskie koszta robocizny w XVII wieku w Indiach. Katedra św. Piotra w Rzymie kosztowała 200 milionów, a pałac królewski w Wersalu 400 milionów. Porównajmy wartość użytkową każdej z tych budowli i jej koszta!

TEŻ SPOSÓB WERBOWANIA CZYTELNIKÓW

W pewnym sklepie antykwarskim w Paryżu często można było zauważyć pewnego pana, który zjawiał się na chwilę i wnet w pośpiechu nerwowym wychodził, robiąc wrażenie jakby coś ukradł. Był to prawnik i filolog Catharinot, który bynajmniej nie był amatorem cudzej własności, tylko w ten dziwny sposób chciał zyskać czytelników dla swoich książek. Mianowicie w czasie szperania wśród książek rozłożonych na stołach antykwariatu wsuwał swoje książki pomiędzy wystawione i szybko wychodził.

REKORD KRÓTKIEGO ŻYWOTA

Każdy kwiat musi zwiędnąć, ale czas od zakwitnięcia do zwiędnięcia dla każdego jest różny. Są kwiaty, których trwanie liczy się na godziny. Najkrótsze życie mają kwiaty kaktusów, których więdnięcie zaczyna się już w momencie zakwitnięcia. Więdnięcie spowodowane jest zanikaniem komórek, które jest spowodowane rozpadnięciem się białka. U kwiatów kaktusów to rozpadnięcie się białka następuje gwałtownie, bo już w przeciągu godziny rozpada się jedna trzecia całej zawartości białka!

KSIĄŻKI MAJĄ TEŻ WROGÓW

Według twierdzenia Instytutu Patologii Książki w Rzymie, książki mają swoich wrogów, którzy je bezustanku zwalczają. Sześćdziesięciusiedmiu wrogów ma książka tylko wśród zwierząt. Setki szkodników roślinnych, chemicznych i innych grożą jej ustawicznie zagładą. Rzymski instytut postawił sobie za zadanie zbadać choroby książek i wynaleźć środki ich zwalczania i zapobiegania. Za najlepsze „lekarstwo" przeciwko „schorzeniom" powodowanym przez zwierzęta uznano gazowanie książek. Z komory gazowej nie uszedł dotąd cało żaden szkodnik zwierzęcy.

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 353-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 220-61 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900



U FRYZJERA

— *Czy mam zmyć głowę, panu dobrodziejowi?*
— *Eh, nie, dziękuję, to zrobi mi żona w domu, gdyż już spóźnię się na obiad...*

Rys. J. Paluch — Kraków

KĄCIK SZACHOWY NR 23

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

OBRONA ŁOTEWSKA

(Ciąg dalszy).

Wariant I, obrona C, kontynuowanie 2.

1. e2—e4 e7—e5	13. Wa1—b1 Sb8—d7
2. Sg1—f3 f7—f5	14. Hd1—h5+ Ge6—f7
3. Sf3×e5! Hd8—f6!	15. Hh5—g5 g7—g6
4. Se5—c4[1]) f5×e4	16. Wf1—e1 h7—h6
5. Sb1—c3[2]) Hf6—g6[3])	17. Hg5—h4 g6—g5
6. d2—d3[4]) Gf8—b4[5])	18. Hh4—d4 0—0—0
7. d3×e4 Hg6×e4+	19. Hd4×a7 Sd7—b6
8. Sc4—e3 Gb4×c3+	20. Se3—f5 Se7—g6
9. b2×c3 Sg8—e7[6])	21. Sf5—e7+ Sg6×e7
10. Gf1—c4 d7—d6	22. We1×e7 Wd8—e8
11. 0—0 Gc8—e6	23. Wb1×b6! Czarne poddały się..
12. Gc4—d3 He4—c6	

Dr Nigg—Agarkow (XI t.m. koresp. DSchztg 1940)

[1]) Ruch, polecony przez Leonhardta, który został skrytykowany przez Behtinga w omówieniu teoret. ks. turn. Kemeri 1937 (zdaje się niesłusznie).

[2]) 5 . . . d3 d5 6. S—e3 G—e6 7. d×e4 d×c4 8. S—c3 G—b4 9. G—d2 S—e7 10. S×e4 G×d2 = (Foltys—Petrow, t. m. Podebrady 1936).

[3]) 5 . . . c6 6. S×e4 H—e6 7. H—h5+ g6 (lub K—d8) 8. H—e5!+ (Sah 1941).

5 . . . c6 6. S×e4 H—e6 7. H—e2? d5 8. Se—d6+ K—d8! 9. S×b7+ K—c7 10. H×e6+ G×e6 11. Sb—a5 d×c4 12. G×c4 G—f5 13. d3 G—d6! 14. 0—0 S—f6 15. G—g5 Sb—d7 16. Wf—e1 Wh—e8 = (Sah 1941).

[4]) 6. f3 G—e7! prowadzi do wyrównania (Behting, ks. t. Kemeri 1937).

[5]) 6 . . . e×d3? 7. G×d3 H×g2 8. G—e4! z ogromną przewagą rozwojową białych.

[6]) W ślad za Behtingiem twierdzi Dr Euve (Theorie d. schackopeningen), że 9 . . . Sg—e7 prowadzi do równej gry. Przebieg i wynik przytoczonej partii nie potwierdza tego zapatrywania.

9. . . . S—f6 19. G—e4 c6 11. 0—0 d5 12. S×d5! H×c4 13. W—e1+ K—f7 14. S×f6! K×f6 15. H—d6+ prowadzi do przegranej czarnych (Trifunowicz-Apszenek, Olimp. Sztokholm 1937).

Wariant II, subwariant I.

1. e2—e4 e7—e5	10. Ge2×f3 c7—c6
2. Sg1—f3 f7—f5	11. 0—0 Hd8—c7
3. d2—d4[1]) f5×e4	12. Gc1—f4 Gc8—e6
4. Sf3×e5 Sg8—f6	13. Hd1—d2 Sb8—d7
5. Sb1—c3 d7—d6	14. Wa1—e1 Wa8—e8
6. Se5—c4 d6—d5	15. We1—e2 Ge6—f5
7. Sc4—e5[2]) Gf8—d6	= v. d. Bosch-Apszeneg (Olimp. w Hamburgu 1930).
8. Gf1—e2 0—0	
9. f2—f4 e4×f3	

[1]) Uchodzi za sabsze niż 3. S×e5.

[2]) 7. S—e3 c6 8. f3 G—b4 9. a3 G×c3+ 10. b×c3 0—0 11. G—e2 e×f3? (tu powinne były grać czarne 11 . . . G—e6! poczym Sb—d7). 12. G×f3 S—e4 13. 0—0 S×c3 (lepsze 13 . . . Sb—d7 lub ewent. 13 . . . Sb—c6) 14. H—d3 S—a4 15. G—d2+ (H. Saunders-F. F. L. Alexander, t. o. m. klubu w Londynie 1938).

Partia przytoczona powyżej nie dowodzi wyższości kontynuowania 7. S—e3, gdyż czarne popełniły kilka omyłek, zanim popadły w pozycję przegraną.

CZĘŚĆ OGÓLNA

Studium Nr 10

P. Farago (Sah 1939)

Czarne: Kg2, Wf5, Sf4, pion: a5 (4).
Białe: Ka2, Sg8, piony: c6, h5 (4).
Studium 4+4 = 8. Białe zaczynają i wygrywają.

Rozwiązanie problemu Nr 10 (Mongredien):

1. K—b1 (2. K—c2 3. H—d1+) G—g1 (z zamiarem 2 . . . H—f2).
2. H—d2+ K—f1 3. S—g3+; 1 . . . G—f2 2 . . . S—c3 i 3×; 1 . . . G—e3 (aby grać G—d2) 2. S—g3 K—f2 3. H—f1+.

Partia Nr 34

Białe: Al. Kerschaw — Czarne: W. H. Whicher

(1930 koresp.)

Angielska.

1. c4 S—f6	12. K—f2 H—e7
2. S—c3 e5	13. H—e2 S—c6[1])
3. g3 c6	14. a3 Wa—c8
4. G—g2 d5	15. h4 H—d6
5. c×d5 c×d5	16. H—d1 W×e3
6. d4 e4	17. K×e3 H×g3
7. f3 G—b4	18. G—h3[2]) W—e8+
8. G—d2 G—f5	19. S—e4 W×e4+
9. S×e4! G×d2+	20. K—d2 W×d4+
10. S×d2 0—0	21. K—c3 S—e4+
11. e3? W—e8	22. Białe poddały się[3]).

[1]) Zapobiega G—h3, grożąc S×d4.
[2]) 18. S—e2?? S—e4+
[3]) 22. K—b3 W×d1 23. W×d1 S—f2 24. W—e1 G—e4 itd.

Partia Nr 35

Białe: Taube — Czarne: Roese

Pionem hetmana

1929 t. lokal Hamburg (I nagr. za piękno).

1. d4 S—f6	14. f4 G—c8
2. c4 b6? (e6!)	15. f×e5 d×e5
3. S—c3 G—b7	16. S×g7! K×g7
4. H—c2 e6	17. G—g5 S—f4
5. e4 G—b4	18. W×f4 e×f4
6. G—d3 G×c3+	19. e5 H—d7
7. b×c3 d6	20. e×f6+ K—h8
8. S—f3 Sb—d7	21. G—h6! W×e1+
9. 0—0 e5	22. K—f2 W—e2+
10. G—d2 0—0	23. H×e2 H—e6
11. Wa—e1 W—e8	24. G—g7+ K—g8
12. S—h4 S—f8	25. G×h7+ Czarne poddały się.
13. S—f5 S—g6	

— I znowu Ładziu, wychodzisz? Nie masz pojęcia jak nudno jest wieczorem w domu!
— Właśnie dlatego wychodzę.

*

— Niech też sobie pani wyobrazi jaki to zbereźnik z tego lokatora. Przedwczoraj powiada do mnie. Niech pani Wojciechowa przyjdzie do mnie, to pokażę pani swoją antenę!

*

— Dlaczego właściwie ten pies twój tak szczeka, gdy przychodzę do ciebie w moim kołnierzu bobrowym?
— Bo on się zna wybornie na farbowanych kotach.

*

— Dlaczego ten obraz pt. „Wszechwładza", tatusiu, przedstawia kobietę?
— Jak dorośniesz i ożenisz się to zrozumiesz.

*

— Ta rzeka musi być głęboka.
— Ej nie, proszę pani, przecie kaczkom woda sięga zaledwie po brzuch.

*

— Na jaką karę zasługują ci, którzy popełniają bigamię?
— Przede wszystkim na bardzo ciężką karę posiadania dwóch teściowych naraz.

*

— Ach, ojcze Jędrzeju, jakaż wstrętna pogoda wypadła akurat na wczorajszy pogrzeb waszej żony.
— Ano, już to prawda, że ja nie mam żadnego szczęścia do familijnych uroczystości.

*

— Jesteś zadowolony ze swojej stenotypistki? Podąża za twoim dyktandem?
— Już się skończyło. Teraz ona dyktuje.
— Jakto?
— Ożeniłem się z nią.

*

— Cóż, Janek pocałował cię wbrew twojej woli?
— Przynajmniej on tak myśli.

*

— Czy to prawda, że państwo Śnigórscy chcą się rozwodzić? Przecież dopiero cztery tygodnie jak się pobrali.
— No, tak nawet już tydzień temu mieli się rozwieść, wstrzymali się tylko, bo czekają jeszcze na kilka spóźnionych podarunków ślubnych.

*

WUJCIOWI Z KOMINA W DNIU IMIENIN

Pierwsze moje życzenie Kochany Wujaszku
byś żył tylko z poezji — nie uprawiał „pasku",
i miał na względzie petycje nabożniejszych gości:
„bez uszczerbku w dowcipie — więcej moralności!"
Niechaj symboliczne „pieczone gołąbki"
lecą prosto — w Twe słodko rozdziawione ząbki.
Wielbicielki talentu „na wszystko gotowe"
niech wiankiem Cię otoczą... jak listki bobkowe!
(a każda niech przytaska Ci jakiś dar boski:
choć — flaszkę po... Martelu, choć — makaron włoski,
w końcu — może to nawet być i... noga świńska...)
...W rymach — niech Cię uwielbia Krysta Opalińska!
— Tu należy zakończyć, (w Twoim interesie)
chociaż pleść Ci w ten deseń można by nie mało
lecz... na Twoje „kawały" miejsca by nie stało.
Bądź zdrów! — rozjaśniaj nasze miny dowcipem... bez końca
Całuję Cię ukradkiem... Czytelniczka „Gońca!"

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

„DOKTOROWI YPSYLON"

Przysłał mi pan anonim. Dziwne z pana zwierzę;
Sądzi pan, że mi może zbywa na papierze?
Bynajmniej!... Ale gdyby nawet — przyjacielu,
Skąd ta myśl, że ja także cierpię na brak smaku?...
...Anonim, to rzecz niska, wstrętna! Nawet w krzaku
brzydziłbym się posłużyć nim, — nawet w tym celu!...

OSTROŻNOŚĆ NIGDY NIE SZKODZI.

Dziad Zysia w późnym wieku miał nieślubną córkę.
O tym się wnukom nie gada.
Po prostu nie wypada.
Chłopcu się spodobała urocza dziewczyna
i miał z nią syna;
Ów zaś, że w szkołach pilny był, że się nie lenił
wzbogacił się, i pnąc wciąż z górki na górkę
w Ameryce z ciotunią Zysia się ożenił.
Choć to się stało wszystko przez przypadek czysty
Zyś szuka teraz artysty
prawnika, o bystrym umyśle
aby mu ninie
wyjaśnił ściśle
stosunki pokrewieństwa w najbliższej rodzinie!

OBOWIĄZEK

Już wszystko pachnie smętkiem i jesienią.
W polu spod pudrów zieleni już glina
wylazła, ogród też łysieć zaczyna,
drzewa swe liście lada dzień utlenią.

Na długo zresztą im się to nie przyda,
Wkrótce ich resztki wyczesze czas słotą.
Idzie paskudnych plut zimna ohyda:
Katar, chłód, wilgoć, reumatyzm i błoto.

W takiej porze śmiać mi zbyt się nie chce,
Myślą o węglum i ziemniakach struty
Ale cóż począć? Skoro jestem szewcem,
muszę w terminie uszyć państwu buty...

ACH TA FORSA!

Przyszedł synek do ojca: „Tato dziś bogaty?
Trzeba mi grubszej floty na jutro od taty..."
Ów na to: „Dziś ja floty nie mam, dziecko złote
lecz sprzedam marynarkę i będę mieć flotę."

POJĘŁA.

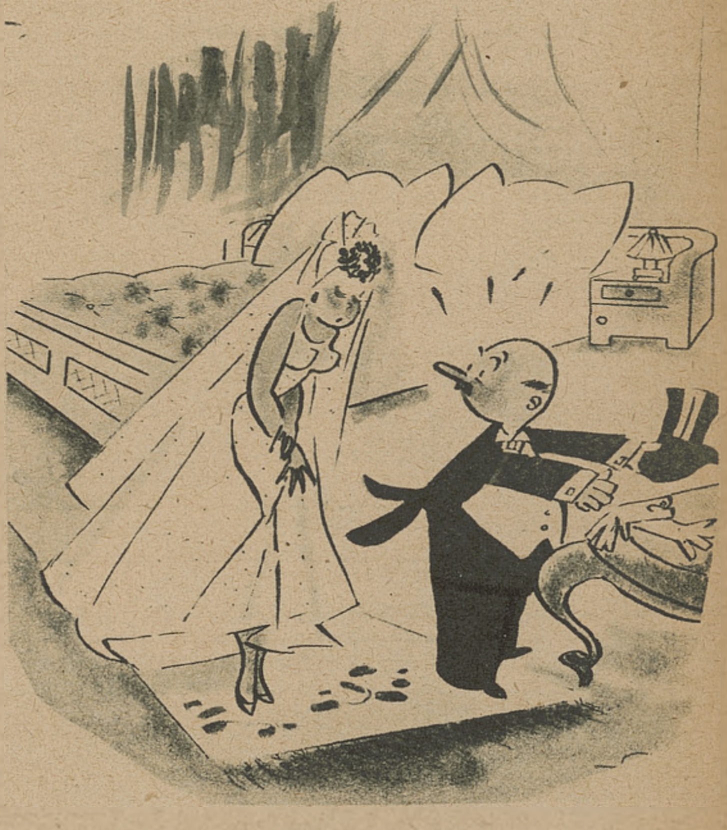
Ledwo jabłka dojrzały, już spadają z drzewa
wprawdzie mocno rumiane, lecz bez cienia strachu.
— To mistrze pedagogii — szepce panna Ewa —
wiedzą, że verba docent, sed exempla trahun"t!

Wujcio z Komina



— *Jakie sobie sprawić futro; cielaki czy źrebce?*
— *Myślę, że cielaki jednak odpowiedniejsze dla ciebie.*

Rys: Czecha — Kraków



— *Matka mi wszystko powiedziała. Czy ojciec tobie także?*

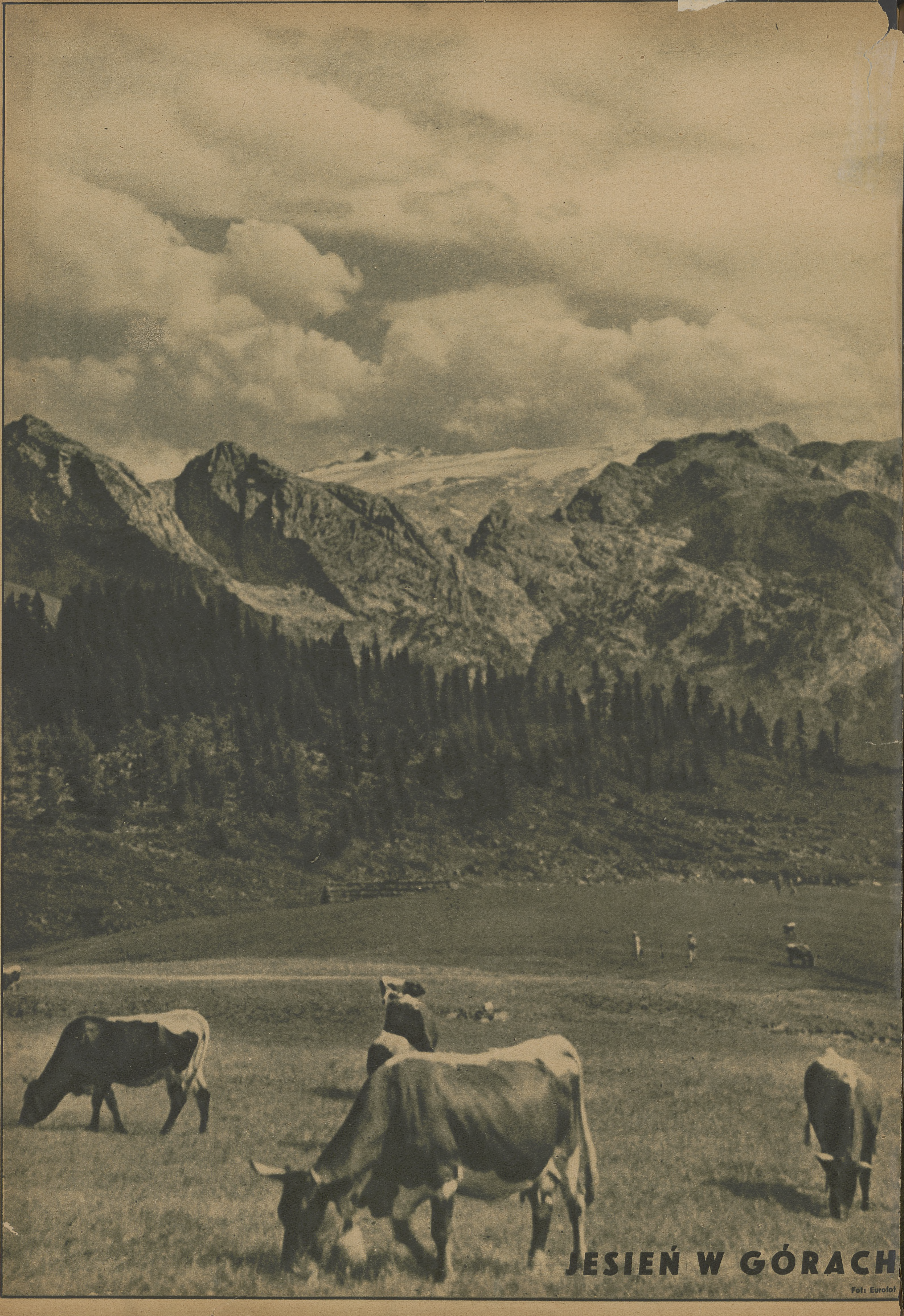
Wiener Illustrierte



W RESTAURACJI

— *Panie! Pan nie zapłacił za wino, które pan wypił!*
— *A pan zapłacił za nie?*
— *No, myślę!*
— *Więc po cóż ja mam płacić drugi raz?*

Rys: Empp — Kraków



JESIEŃ W GÓRACH

Fot: Eurofot